



Fot. Zbigniew Grzyś

Pisarz, członek Związku Literatów Polskich, dr nauk prawnych. Sybirak, autor kresowo-syberyjskiej sagi powieściowej. Ur. 21 grudnia 1929 r. w Kielnarowej. Autor cenionych powieści, m.in.: *Syberiada polska* (2001), *Czas kukulczych gniazd* (2004), *Tajga. Tamtego lata w Kajenie* (2007), *Młode ciemności* (2012), a także innych książek, jak *Cedrowe orzechy* (1974, poszerzone wyd. w 2014 r.), *Błędne ognie*, *Wicher szalejący*, *Złota pajęczyna*, *Noc na kwaterze*, *Czas do domu*, *chłopaki*, *Sztorm*, *Pszenniczność*, *Brama Niebiańskiego Spokoju*, *Notatki spod Błękitnej Flagi*, *Bukowa Polana*, *Kraina Smoka*. Ma w dorobku także tomik poetycki *Matczyne Pole* (1993). Jego proza tłumaczona była na języki: rosyjski, ukraiński, francuski, białoruski, bułgarski, słowacki, gruziński, kazachski.

Wigilię Bożego Narodzenia Staszek Dolina lubił od zawsze i zawsze ją spośród innych świąt wyróżniał. Wigilia kojarzyła mu się z rodzinnym domem, z rodziną i z mamą... Wigilijny niepowtarzalny nastrój, wspólny świąteczny stół, nieważne, bogatszy czy biedniejszy, ale zawsze z tradycyjnym siankiem, żywicznym zapachem choinki i z opłatkiem. Opłatkiem choćby tak symbolicznym, jak ta ich specjalnie na wigilijną okazję przed głodem ocalona skórka chleba w Kaluczem nad Pojmą, czy też w rok później, dzielony na wszystkich jeden jedyny, do tego podmarznięty ziemniaczyna w łupinie, w Kajenie nad Birusą.

Która to już Staszkowa Wigilia w Zielonym Polu? Trzecia. Pierwsza, ta posyberyjska, była z Bronią. Zeszłoroczna, no i ta, tegoroczna, już z trzecią żoną ojca, Teresą, czyli z Nową. Ale gdy tak swoje wigilijne wspomnienia przemierzał, najszcześniejsze i najpiękniejsze jawiły się Staszekowi przedwojenne Wigilie w Kalinowej... Nawet pierwszą w swoim życiu pasterkę zapamiętał, jak prowadzony przez rodziców za ręce brnął kopnym śniegiem pod wysoką górę do borkowskiego klasztoru... No, a potem było Podole, Zaleszczyki, Czerwony Jar, wojna i Sybir...

*Jezus malusieńki leży nagusieńki,
płacze z zimna, nie dała mu
matusia sukienki...*

Ta kołęda, jak żadna inna, pasowała Staszekowi do tamtych syberyjskich Wigilii. Nie mógł jej tam nigdy do końca dośpiewać, żeby nie tłumić w sobie ogarniającego go żalu... Do dzisiaj zresztą nie może jej bez wzruszenia i drżenia w głosie zaśpiewać...

Do tegorocznej wigilijnej wieczerzy rodzina Dolinów z Zielonego Pola zasiadła w powiększonym gronie. Bo to i najmłodszego Antka trzeba było doliczyć, no i gościa, aż spod dalekiego Rzeszowa, tak wyglądanego przez Nową, jej starszego brata Dolka. Chociażby tylko z tych powodów Nowa wręcz promieniała. Ożywiona, radosna krzątała się z zastawianiem i przystrajaniem wigilijnego stołu. A kiedy wreszcie zrzuciła fartuch i wystrojona usiadła przy stole, Staszek nie mógł wyjść z podziwu, bo jakby nagle zdmuchnęło z niej to jeszcze wczoraj tak widoczne i postarzające ją zmęczenie. Tego wieczoru Nowa znów była taka, jak ją Staszek od samego początku zapamiętał. Ojciec wstał, krótko, co trzeba z tej okazji powiedział, przeżegnali się wszyscy i każdy z każdym opłatkiem się przełamał...

Tegoroczna Staszkowa pasterka, też już trzecia w międzygórskim kościele. I stojący razem z nim chłopaki z Zielonego ci sami. Te same znajome dziewczęta. Tylko Kryski wśród nich nie ma. Chociaż... kiedy wszedł do tonącego w lichtarzowym

PASTERKA

Fragment powieści *Młode ciemności*

półmroku zatłoczonego, rozkoledowanego kościoła, popatrzył na tyłem odwrócone dziewczyny, to jedna z nich wydała mu się Kryską, jak nic! Taka sama figura,

taki sam beret, nawet srebrno-barankowy kołnierz czarnego płaszcza taki sam. Złudzenie jak złudzenie, przysło. To Luśka ubiorem Kryskę mu przypomniwała. Wzrok przyciąga. Luśka jako pierwsza z dziewczyn się odwróciła, a po niej stojąca obok niej... Gienia! Ta na widok Staszka najpierw rozkwitła w szerokim uśmiechu, by nagle spoważnieć, posmutnieć i ponownie się odwrócić. Speszony Staszek nie wiedział, co o tym sądzić.

„Jezus malusieńki leży nagusieńki, płacze z zimna...”. „Bóg się rodzi, moc truchleje...”. Koniec pasterki. Staszek nie czekał dłużej. Zdecydowanie, bez słów złapał Gienię za rękę i rozpychając się wśród tłumu poprowadził ją do wyjścia. Poddała mu się potulnie. Zaraz za kościołem zbiegli w pustą o tej porze, zaśnieżoną parkową alejkę. Dopiero tam lekko zdyszani przystanęli. Gienka wyprzedziła Staszka i bez słowa rzuciła mu się na szyję. Całowali się, póki im tchu starczyło. Staszek schylił się po rogatywkę, która, nawet nie zauważył kiedy, zsunęła mu się z głowy. Strzepnął śnieg, czapkę włożył i choć próbował zebrać jakieś sensowne myśli, poszukać pierwszych słów na powitanie, odezwał się, jak się odezwał. Bez sensu raczej.

– No i co teraz z nami dalej?

– A dalej – Gienka wspięła się na palce i znów go pocałowała. – A teraz idziemy do domu. Nie będziemy przecież tutaj, na tym mrozie nocować.

Poszli. Wigilijna, świąteczna noc sprzyjała im przemienieniu. To na chwilę im drogę księżycem oświetliła, to znowu nisko gonionymi chmurami ją przyćmiła. Tylko drobny śnieżek niezmiennie prószył i lekki mroźnik śniegiem pod stopami skrzypiał. Szli wolniej niż wolno, do tego co chwila przystawali. Hamowała Gienka, przeważnie po to, żeby Staszekowi coś powiedzieć, opowiedzieć, a głównie po to, żeby się kolejny raz z nim wycierać. A przy tym te jej „ochy” i „achy”.

– Boże, Staszek, nie wyobrażasz sobie, jak ja na ciebie czekałam! Jak ja się cieszę, że przyjechałeś, że jesteś. Jak ja na ciebie czekałam, jak czekałam...

Ani się spostrzegł, jak umówili się na Sylwestra. Noc była późna, ale Zielone wciąż jeszcze nie spało. W wielu oknach się świeciło, w innych tliły się świeczki na choinkach. Jedni wracali z pasterki, inni chyba jeszcze zasiedzieli się przy wigilijnych stołach. W domu Konopków ciemno.

– Śpij już. Gości w tym roku nie mamy, a i tacie ostatnio się nie zdrowiło. Z wojny... to porażone biodro mu się odezwało.

– Gienia, nie uwierzysz, ale i ja się za tobą stęskniłem. Bardzo cię lubię. – Przytulił ją, pocałował. Pomilczała, delikatnie strzepując mu śnieżynki z kołnierza. ■



Czesław Markiewicz

Ab ovo

Już lipiec na krawędzi. A pszenżyto jeszcze w polu. Sypie się jak lupież z głowy pana boga. Zamiast stodoły ambona. Zamiast sąsiedków kwartały lasów. W studni tylko pionowa woda. Jakby do nieba. Jakubowa. Nie rozlana po horyzont. Wąsy na kłosach całkiem w zenicie. Właśnie

wychodzi spod kalenicy Adam. Widzi deszcz na grzbiecie wielkiej niedźwiedzicy. Zanim wyklepie modlitwę zabije czas wyostrozonym spojrzeniem w marsowe niebo. Właśnie

U r. w 1954 r. Absolwent polonistyki WSP w Zielonej Górze. Dziennikarz Radia Zachód (publicznego). Laureat regionalnych nagród literackich, autor pięciu tomików wierszy, zbioru opowiadań, trzech powieści i szkiców krytycznych.

skoro świt zamieni klepanie biedy na kosę. Ewa przysposabia się do odbierania. Mości w uszach chrzęst rozlupowanego kąkolu. Żeby tak diabli wzięli cały ten zgiełk i całą tę tombakową pozłotę. I na wieki wieków. Właśnie

świat się rychtuje do pierwszych wypieków. Niby razowych rumieńców. Tępego szczęku sztukców. Jazgotu rozbijanych przed wykluciem pisklęcych ziaren. Tu i teraz. Właśnie.

Maria Stefanik



U r. w 1957 r. w Krośnie, mieszka w Żarnowcu. Ukończyła studia z zakresu prawa administracyjnego. Autorka dwóch tomików poetyckich. Publikuje wiersze w corocznym almanachu Klubu Literackiego przy RCKP w Krośnie. Nagradzana w ogólnopolskich konkursach literackich.

Strachy

Już dojrzałych czereśni postrachem ramion nie ustrzegą, ani słodczy buraków przeciwnych oczu, i chlebowych łańców rozweselonej gromady.

Dla nich: wykoślawione sady, połacie bez fałdów zbóż, opustoszałe wygony z macierzanką i wiatru smętny ton...

Strachy bawełniane i tiulowe manekiny w elegancji i robocze, po teatrze już na ziemi zaprosiły swoją rolę... W Muzeum Strachów w Sołonce, każdy w swojej działki rewirze.

Róża Klimczak

A bsolwentka filologii polskiej, rozpoczęła studia doktorskie na Uniwersytecie Rzeszowskim. Po debiucie (*Jak teraz zasnąć*, 2013). Dwukrotna laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Stanisławy Kopieckiej.



Hymn do wiejskiej ziemi

jest młodą dziewczyną o płodnych zaokrąglonych biodrach na ramiona opadają jej włosy niby łany pszenicy oczy jej się chabrzą usta malinią

rozgląda się wokół czeka serce pod bluzką wali jak dzwon na sumę choć nie do niej już należy

jaśmin tak wtedy pachnie aż się w głowie kręci

jest młodym chłopakiem ma ramiona o sile jesionu oczy jak dojrzałe czarne porzeczki dłonie tak bezpieczne że ziarna w nich przez nieuważę chcą wypuszczać pędy

wiejska ziemio jesteś ich spotkaniem – drżącym prędkim wyteśknionym jesteś ich pocałunkiem – głodnym jak po dniu sianokosów jesteś tym co przed nimi – kwitnieniem i zbiorem obrodzeniem i obumieraniem

wszystko to przyjmiesz ze szczerym zdumieniem jakbyś to widziała po raz pierwszy

Małgorzata Kaczkowska

U rodziła się w 1999 r. w Jabłonicy Polskiej k. Krosna, gdzie mieszka i uczęszcza do gimnazjum. Píše wiersze, fotografuje.



List do M.

Siedzę sama w zimnym pokoju. Pusto jakoś. Białe ściany jakby bardziej poszarzały. Nie ma już obrazów Zwinięto zasłony Światło zgasło A pudełka ze zdjęciami nie ma już w kącie, zabrano je.

Tylko stary biały kredens został na swoim miejscu i szuflada tak samo skrzypi. Jakby wspomnienia zachowały je w nienagannym stanie.

I głucho. I cicho. I zamilkł niegdyś codziennie słyszany głos. Wiosenne fiołki już nie kwitną. Herbata się nie parzy. Filiżanka stoi pusta, bardziej wyblakła. Jakby czekała na dotyk znajomej dłoni.

Nasłuchuję... cisza. Nie ma Ciebie To miejsce zamilkło, wyblakło. W odwiecznej żałobie po stracie najważniejszej części siebie.

Wychodzę Kiedyś się jeszcze spotkamy...